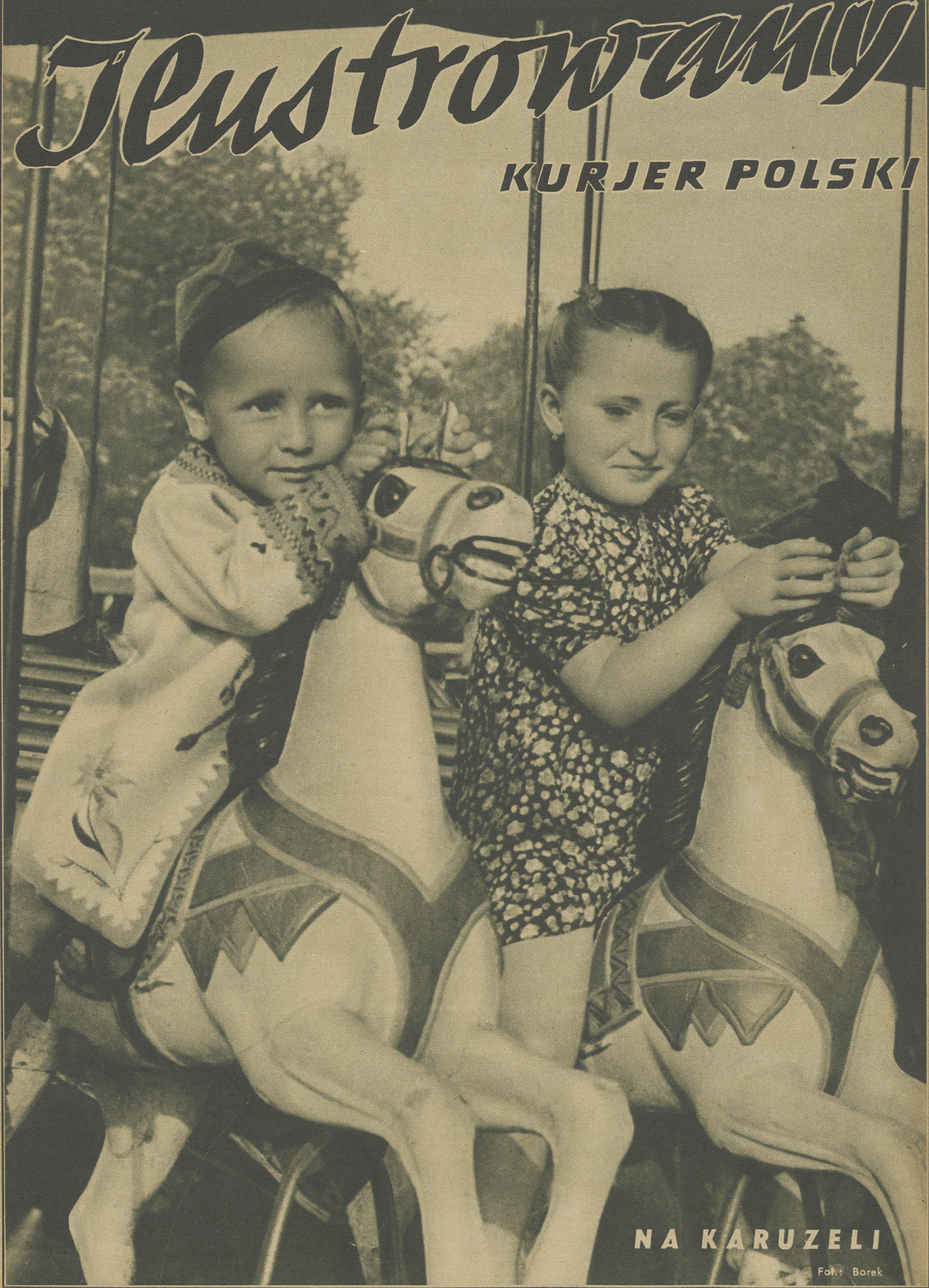
Nr. 28 Rok 4 Kraków, dnia 11 lipca 1943 Cena 40 gr.

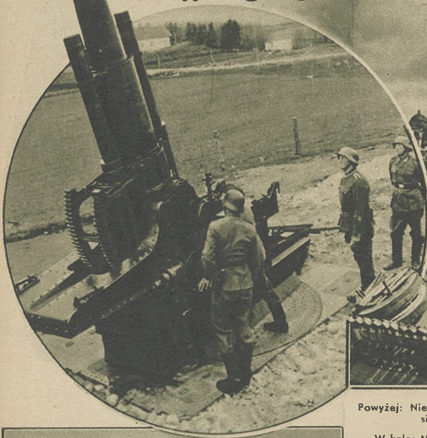
Ilustrowany KURJER POLSKI

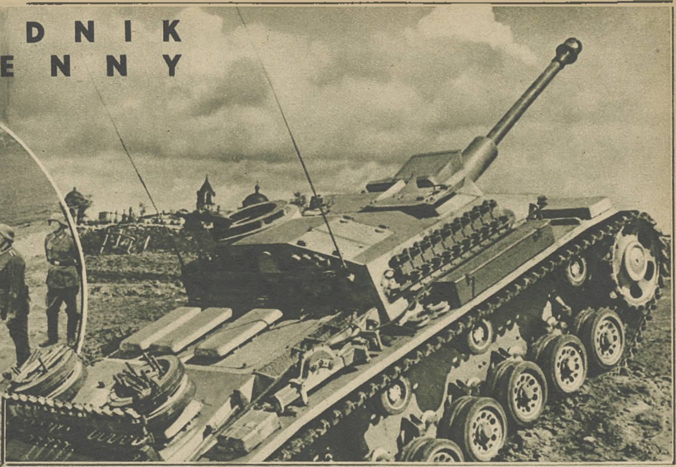


NA KARUZELI

Fot.: Borek

TYGODNIK WOJENNY





Powyżej: Niemieckie pancerne działo szturmowe posuwa się naprzód na froncie wschodnim.

W kole: Moździerz niemiecki na wybrzeżu Norwegii.

Na prawo: Ochotnicy pochodzący z terenów wschodnich, którzy przystąpili do walki z bolszewizmem, dokonują śmiałego ataku na nieprzyjaciela.





Niemieccy grenadierzy używają miotacza płomieni w czasie walki.

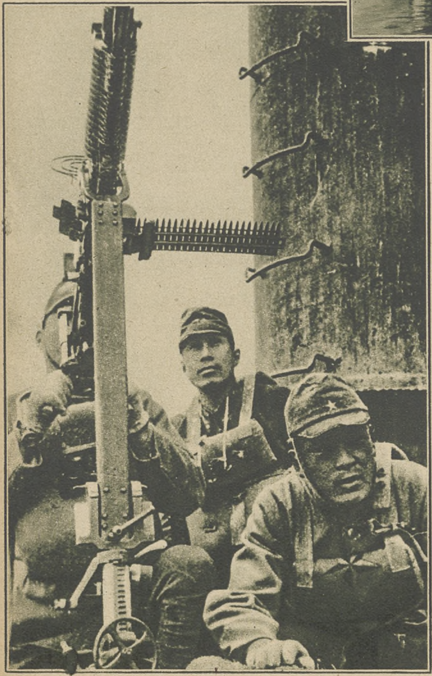


U góry: Brytyjski okręt-cysterna, zapalony pociskami niemieckiej łodzi podwodnej.

Na prawo: Fińska obrona przeciwlotnicza w akcji na północnym odcinku frontu wschodniego.



Fot.: PK. Mentz-Sch., Mentz, Hager-PBZ, Hähle-Atl., Engelmann-TO, Scherl, Transocean 2.





Na lewo: Japoński ciężki karabin maszynowy używany w walce z amerykańskimi wojskami.

U góry: Piechota japońska przebywa w marszu bardzo trudny teren w południowych Chinach.





Na lewo:
Generalny Gubernator dr Frank rozmawia z robotnicą w czasie zwiedzania jednego z warszawskich zakładów przemysłowych.

U góry:
W Stryju, jak również i w innych miejscowościach ludność miejscowa witała entuzjastycznie Generalnego Gubernatora.

PODRÓŻ INSPEKCYJNA GENERALNEGO GUBERNATORA DR FRANKA DO WARSZAWY I GALICJI

Generalny Gubernator dr Frank odbył niedawno wizytę inspekcyjną w Warszawie, a następnie zwiedził okręg galicyjski. W Warszawie jak również we Lwowie omawiano na posiedzeniach rządu, oprócz sprawozdań z prac dokonanych w ostatnich miesiącach, plany na najbliższą przyszłość. Przy tej okazji wyraził Generalny Gubernator słowa uznania za lojalne i rozsądne stanowisko przeważającej części ludności, ofiarującej swe siły i pracę na ołtarzu wielkich zadań jakie wymaga chwila bieżąca. Dr Frank zwiedził także w czasie swej podróży, wiele zakładów przemysłowych.

Fot: Pgg.





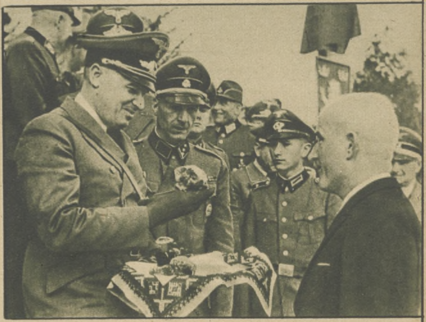
U góry:
Generalny Gubernator przyjmuje w gmachu urzędu okręgu lwowskiego delegatów Polskiego Komitetu Opiekuńczego.

Na lewo:
W Stryju witają dr Franka wieśniacy w malowniczych strojach jadący na koniach.

Na prawo:
Generalny Gubernator robi przegląd ochotniczego oddziału dywizji strzelców SS „Galicja" w Drohobyczu.







Na lewo:
Generalny Gubernator odwiedza Baudienst w Stryju.

Powyżej:
W Drohobyczu wręczano Generalnemu Gubernatorowi produkty kraju, w czasie uroczystego powitania.

DOLINA RÓŻ



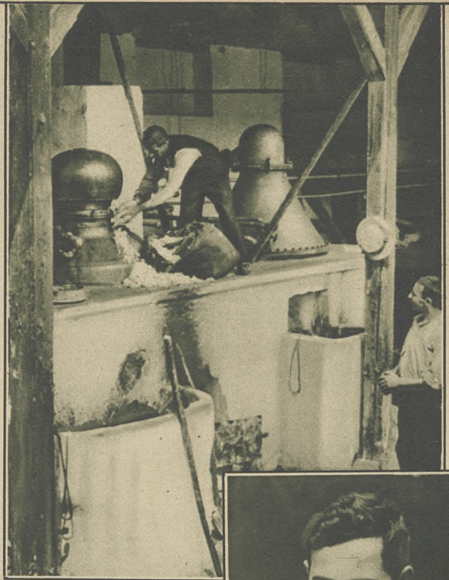
Z bliskich i dalekich okolic schodzą się mężczyźni, kobiety i dzieci, by zbierać róże. Pola różane są bardzo wielkie, i w czasie kwitnięcia róż należy je przejść kilkakrotnie, gdyż zrywa się tylko zupełnie rozkwitnięte kwiaty.



Na lewo: Zanurzeni po kolana, stoją robotnicy wśród płatków róż, zsypanych w większych ilościach w fabryce.

Kwiat róży kwitnie tylko kilka dni, Jej dusza natomiast trwa stulecia" — śpiewają bugarskie dziewczęta zrywając róże. Słowa tej pieśni odnieść można tylko do róży bułgarskiej, gdyż tylko w Bułgarii niedaleko górskich miast: Karłowa, Sopot i Kazanliku kwitną róże, którym żadne inne na świecie nie mogą dorównać pod względem silnego zapachu, zwłaszcza esencji wyrabianej z tych róż. Jaki jest tego powód? Gdzie szukać przyczyny niezwykłej własności róż bułgarskich? Kwiaty bułgarskiej róży nie są nawet duże ani okazałe. Jednak czarują one niezwykle wspaniałym zapachem, jakby wyśnionym w bajce z „tysiąca i jednej nocy". Wdychając go, mamy wrażenie, jakbyśmy wdychali z zapachem róży bułgarskiej cząstkę tajemnic Wschodu. Niejednokrotnie już usiłowano zaaklimatyzować różę bułgarską obdarzoną specjalnym zapachem w innych krajach i okolicach. Przekonano się jednak, że kwitnie ona tam równie pięknie, ale jej „dusza" traci pierwotną siłę. Cudowny klimat panujący w „Dolinie róż", ziemia i jej uprawa, wiele przyczyniają się do tego cudownego aromatu. Skoro tylko jutrzenka zaróżowi niebo, a rozległe pola zaczną mienić się barwą białą i czerwoną w blaskach świtu, nadchodzi pora zrywania róż. Zrywa się jedynie świeżo rozkwitłe róże. Z wrodzoną zręcznością i delikatnością zrywa tysiące rąk, pachnące kwiaty, wkłada je jeszcze perlące się rosą do worków, koszy i zanosi na miejsce zsypu. Pola różane są własnością ogrodników, przeważnie wieśniaków z „Doliny róż". Dawniej wieśniacy sami produkowali olejki różane. Od kilkunastu lat pomaga im w tym bułgarski rząd, odkupując w całości od nich zbiory. Przeróbki róż na olej podejmują się wielkie przedsiębiorstwa stojące pod protektoratem państwa. W dzień i w nocy są w ruchu wielkie aparaty destylacyjne wytwarzające esencje różane. „Dusza" poszczególnej róży jest więc tylko zapachem, który jednak jest tak silnym, że najdelikatniejszym artykułom kosmetycznym, dodany w minimalnej ilości nadaje dopiero właściwy aromat. Bez tego „tchnienia" nie byłoby wielu oszałamiających perfum. Usiłowania wiedzy, by uzyskać w sztuczny sposób esencję różaną, rozbijają się o tajemnicę natury, której dotąd odsłonić nie zdołano. Prawdziwy, niezrównany w jakości olej różany jest specjalnością Bułgarii.





Na prawo: Miliony płatków kwietnych znika w tych olbrzymich kotłach, gdzie je rozgotowują. Jest to bardzo żmudny proces, dostarczający zaledwie kilku kropli olejku różanego.

W kole: Cztery tysiące kilogramów róż dostarcza zaledwie jeden kilogram oleju różanego.

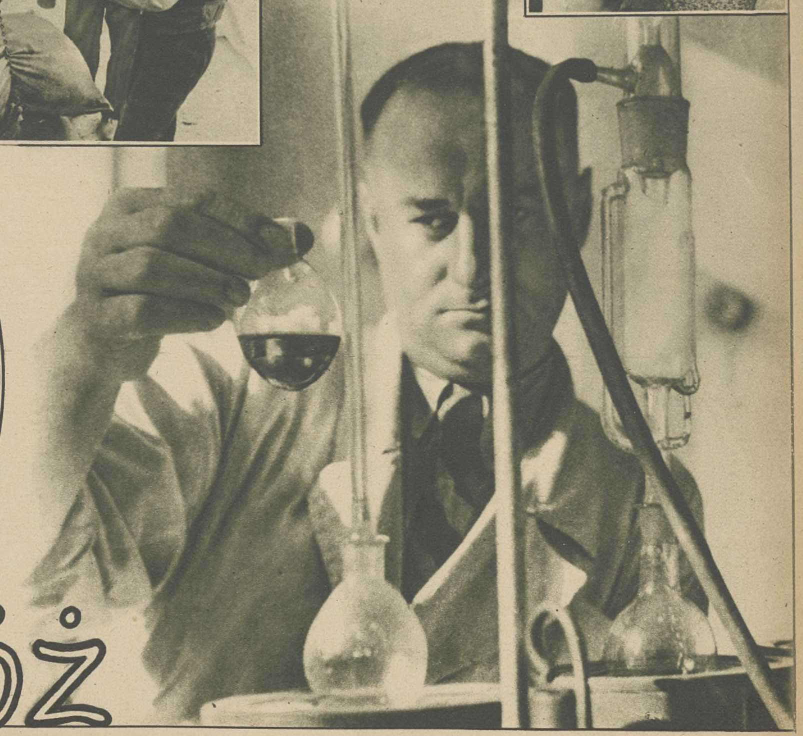


U dołu: Worki z płatkami róż waży się w obecności wójta z wioski.

Fot. Eurofot 5, Atl. 3
Tekst Dr. Piotr Panoff



Na prawo: Już po samym zapachu rozróżnia specjalista każdy gatunek róży.



U dołu: W państwowym laboratorium chemicznym, bada się próbki olejku różanego pod względem czystości i dobroci. Państwo bułgarskie gwarantuje jakość oleju przeznaczonego na eksport.

U dołu: W czasie zbioru róż długie sznury wozów zwożą do fabryki worki wyładowane pachnącym kwieciem.



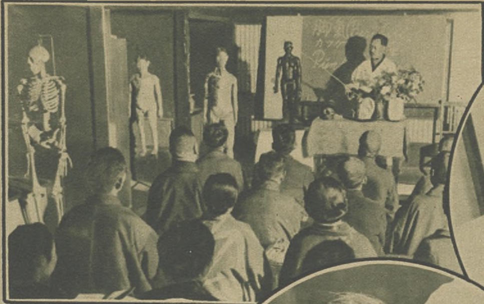
Na prawo: Od wczesnego ranka zaczyna się zrywanie róż. Bez przerwy przynoszą robotnicy kosze napełnione różami na miejsce zsypu.





PRASTARA MEDYCYNA

Japonia jest najbardziej postępowym k r a j e m Azji. Przyswoiła ona sobie nowoczesne metody w każdej dziedzinie życia. Również i medycyna japońska opiera się na ostatnich zdobyczach wiedzy lekarskiej zachowując niektóre prastare doświadczenia i środki lecznicze stosowane po dziś dzień z dobrym skutkiem przez japońskich lekarzy obok najbardziej nowoczesnych metod leczenia.



PRASTARA METODA W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH B A D A Ń
Japońscy uczniowie medycyny zapoznają się z budową ciała ludzkiego i układem systemu nerwowego w celu oznaczenia punktów Okyu, których istnieje 679. Wykłada „doktór starych metod" zwany po j a p o ń s k u Kampoi.

Fot. Dillan Werner Cohnitz



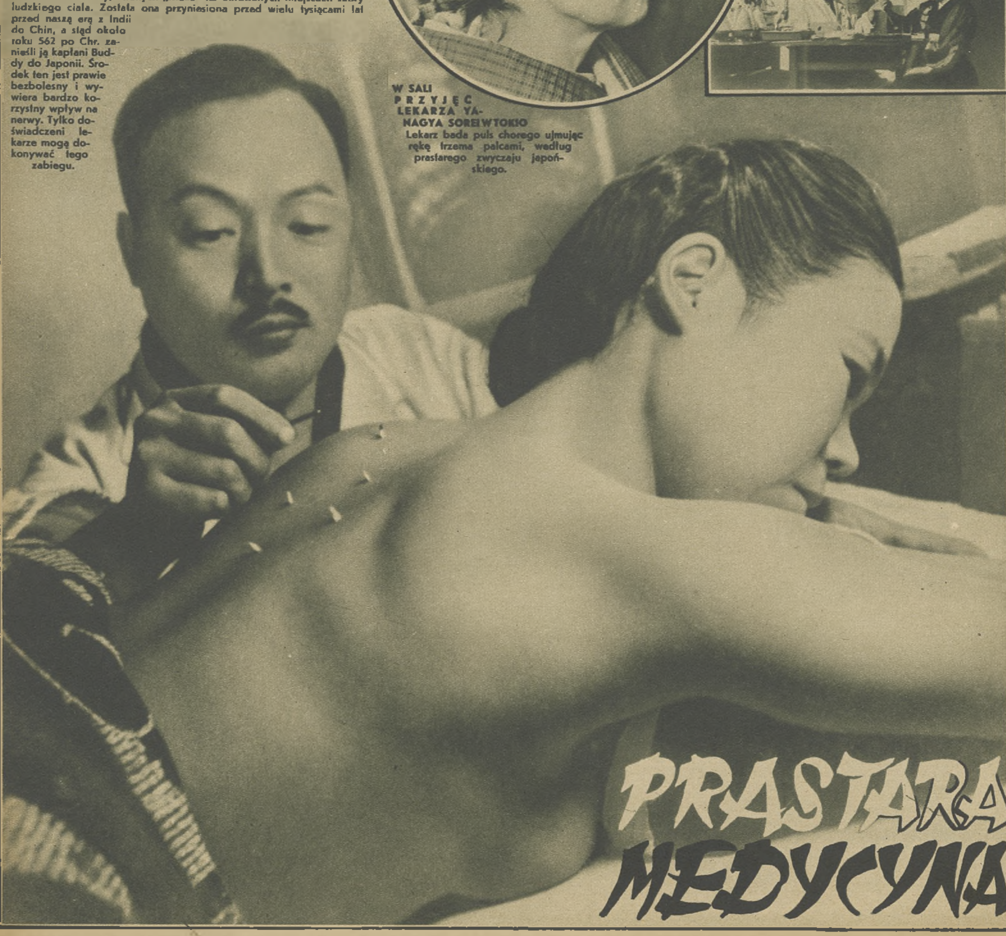
U góry w kole:
„M O X A" SPALONA NA PIĘCIE LECZY C H O R Y Ż O Ł Ą D E K
Pomocnica lekarza zapala tlącym się knotem umieszczone na pięcie „w punktach palnych" kawałeczki „Moxy". Bardzo często taka kuracja trwa tygodnie i miesiące.



Na prawo:
TAK ZWALCZA SIĘ M E T O D Ą „H A R I" C H O R O B Ę N O S A
Cienką igłę wprowadza się kilka centymetrów poniżej nasady nosa do nerwu. Następnie wystarczający koniec igły wprawia się w lekkie drganie, które leczy nerw i tym sposobem usuwa chorobę. Również i ten zabieg wymaga ręki doświadczonego lekarza.



W SALI P R Z Y J Ę C LEKARZA YANAGYA SOREI W TOKIO
Lekarz bada puls chorego ujmując rękę trzema palcami, według prastarego zwyczaju japońskiego.



Poniżej:
„MOXA" NAJSTARSZY ŚRODEK LECZNICZY
Japońska metoda leczenia zwana „Okyu" polega na spalaniu małych kawałeczków trawy, zwanych „Moxa" na określonych miejscach skóry ludzkiego ciała. Została ona przyniesiona przed wielu tysiącami lat przed naszą erą z Indii do Chin, a stąd około roku 562 po Chr. zanieśli ją kapłani Buddy do Japonii. Środek ten jest prawie bezbolesny i wywiera bardzo korzystny wpływ na nerwy. Tylko doświadczeni lekarze mogą dokonywać tego zabiegu.



Dokończenie

„Cios" przedstawiał dziecko w otwartej trumience. Obok — symbolicznie — bezlitośnie złamana młoda gałązka. Nad trumienką mężczyzna, klęczący w bezbrzeżnej rozpaczy.

Joe patrzyła w „Cios" z rosnącym wzruszeniem. Podniosła zeszyt z kolan do oczu — i patrzyła . . . patrzyła . . . Rysunek miał pewne niedociągnięcia, ale uczucia były tak plastycznie oddane, że ból tego człowieka i jego straszliwą życiową pustkę, miało się wprost fizycznie przed sobą.

Tego dnia Joe nie przeglądała już ilustracyj i nie czytała prasy. Słońce zaszło, niebo ściemniało i mrok okrążał ziemię. chłód powiał od zamiejskich przestrzeni, a ona leżała na leżaku, nieruchoma i zamyślona.

— Czy pani każe sprzątnąć leżak? — spytał wreszcie służący, stojący z tyłu od dłuższej chwili.

Joe zerwała się nagle i otrząsnęła.

— Ach, naturalnie! Państwo pewnie czekają na mnie, nie?

— Pani doktorowa pytała kilkakrotnie o „panienkę", ale nie śmiałem przeszkadzać . . . Panienka zabroniła . . .

Joe pospieszyła w głąb domu. Ciotka, żona rodzonego brata ojca Joanny, objęła ją troskliwym spojrzeniem swych niegdyś nieprawdopodobnie błękitnych oczu.

— Zaziębisz się, dziecko! Za późno na takie leżenie! Ty musisz na siebie uważać!

Bez słowa Joe ucałowała ją w rękę. Pani nachyliła się i ucałowała jej skroń.

Joe w domu wujka, gdzie mieszkała przejściowo razem z An, przeżywała niejako „Ersatz" rodzinnego domu i silniej jeszcze, niż kiedykolwiek w życiu, odczuwała — siłą porównań i kontrastów — gorzki smak wiecznego sieroctwa. Ale dobrze się czuła w tym domu, gdzie wszystko szło według ustalonych od lat porządków, gdzie wszystko było celowe i spokojne, nie cierpiało na żadne uchylenia od normy, nie padało ofiarą wstrząsów i burz. Pomiędzy nią, Joe, a tymi najbliższymi jej ludźmi, była cała przepaść uczuć i przeżyć. Często może nie zrozumieliby się, wcale, choć rozumieli się tak dobrze . . .

Joe wymknęła się do swego pokoju. Anny nie było. Została gdzieś na noc u znajomych. Było to Joannie bardzo na rękę. Potrzebowała koniecznie samotności.

Przełknąwszy raczej niż zjadłszy kolację usiadła do stołu. Białe kartony i posortowane ołówki leżały usłużnie i wyczekująco. Joe ujęła w rękę miękki czarny ołówek i karton 15×20. Kilka łuków, zakreślonych w powietrzu z namysłem . . . Ręka jej nabierała rozmachu i decyzji — wreszcie pierwsze kreski spadły niespodziewanie. A potem już szybko zakrywały karton. Joe ze skupieniem w twarzy i nieco przymarszczonymi brwiami udoskonalała rysunek, tu — tam — dorzuciła delikatny półcień, spojrzała kilkakrotnie na Cios, rozłożony na stole już poprzednio — i podpisała pracę w lewym górnym nagłówku, jak to miała w zwyczaju. Pod ilustracją zawidniał tytuł: WYBRANI . . .

Śmierć w postaci cudnego, uśmiechniętego anioła zamyka oczy umarłemu dziecku. W twarzy niszczycielskiego anioła widniało niedające się opisać słowami ukojenie, łagodność i słodycz. Siedzący wysoko, wśród rozświetlonych obłoków Bóg-Ojciec zatrzymuje za rękę Życie, które ma szatańską twarz i szyderczo złośliwego zeza. Życie wyrywa się z rąk Boga Ojca, ku dziecku, ale Bóg powstrzymuje je z wyrazem przecudnej litości w obliczu.

Joe rozmyślnie zachowała formę kolegi z wszystkimi jej usterkami, naśladowała nawet jego koloryt i grę półcieni. Kompozycja tylko była krańcowo odmienna, a stojący z boku ten sam co w Ciosie mężczyzna ma twarz pełną zadowolenia i radości.

Joe nakreśliła na boku arkusza dedykację, zaadresowała do Pionu i poleciła służącemu nazajutrz zanieść to.

Gdy reprodukcja ukazała się w Pionie, Joannę zarzucono listami. Telefon dźwięczał bez przerwy, a Komitet Pionu przesłał jej do domu kilka listów od nieznających jej prywatnego adresu osób. Jakiś mężczyzna przysłał jej bezinteresownie, bo anonimowo, kosz cudnych czerwonych róż. Napełniły pokój Joanny upajającą wonią i barwą. Odezwał się wreszcie, najpóźniej, za kilka tygodni dopiero, młody kolega.

Dziękował w imieniu żony i własnym za wielką przyjemność, jaką im sprawiła. Uważał sobie za zaszczyt niemal, że dedykowano mu tak piękny pomysł. W bardzo serdecznych i ciepłych słowach prosił Joannę, by zechciała odpisać mu, że czułby się bardzo szczęśliwy, gdyby otrzymał od niej kilka słów bodaj. Słowo „Nik" oznaczało skrót od jego imienia — Nikodem. Jako artysta posługiwał się tym tylko „pseudonimem". Joannie podobał się ten dźwięk krótki i miły (ona sama podpisywała się zawsze monogramem panieńskich liter). Podobał się jej również list kolegi, serdeczny i pełen istotnego pragnienia nawiązania artystycznego kontaktu.

Joe jakby odżyła. Jakkolwiek pracowała dużo, żyła jak pustelnik. Zerwała wszystkie przyjaźni, koleżeństwa, zażyłości, a nawet pokrewieństwa. Nie składała żadnych wizyt i żadnych nie przyjmowała. Była więc w konsekwencji pozbawiona tych dobroczynnych wpływów i nastrojów, jakie współżycie z ludźmi przynosi twórcy i jest mu potrzebne zresztą.

Toteż pod wpływem korespondencji z Nikiem, która wkrótce przybrała ton najserdeczniejszej i starej jak świat znajomości, rozruszała się i rozweseliła. Jej ambicje artystyczne, stale teraz podniecane i drażnione przez „znającego się na rzeczy" kolegę-współzawodnika, nabierały rozmachu. Wykrywali w sobie podobieństwa i rozbieżności, a poza tym jako ludzie szybko znaleźli wspólną platformę porozumienia: dla obojga życie było niemiłosierne. Młody artysta (byli z Joanną niemal rówieśnikami), w bolesnych słowach uskarżał się na pustkę swego życia, jego jałowość, bezdźwięk i swe tragiczne osamotnienie. Pewne odcienie tych zwierzeń dziwiły Joannę i zastanawiały, ale Joe nigdy niczemu nie dziwiła się długo. Jest zawsze tak, jak jest, a nie jak być powinno — uważała.

Zwierzali się sobie wzajemmnie z prac swych, ich genezy i przeznaczenia, z planów artystycznych, a on nawet ze swych życiowych projektów na przyszłość. Wzruszało Joannę zaufanie tego człowieka, który jej nigdy nie widział i zupełnie nie znał, a bawiło ją bardzo i cieszyło pełne optymizmu — według prac i listów — patrzenie na świat i ludzi. Chciała koniecznie zarazić się od kolegi tą przesłoneczną duchową jasnością, a porównując jego stany duchowe i wyrazy jego rysunków, ze swymi duchowymi stanami, napisała mu, że jest jeszcze „bajecznie młody".

„Pani też jest młoda, — odpisał jej — my nie starzejemy się nigdy" — mówił pod adresem artystów. „I jakkolwiek wiele razy już zima zabiła mi wiosnę, a noc stłumiła dzień, nigdy nie przestanę czekać na nowy przedświt".

Od jakiegoś czasu dopytywał Joannę, jak ona go sobie wyobraża. Z początku Joe pominęła milczeniem to pytanie, na które odpowiedzieć nie umiała, gdyż nigdy nie myślała dotąd o jego wyglądzie zewnętrznym. Ale gdy po raz drugi i trzeci narzucił jej szaradę swego wyglądu, do rozwiązania według wyobrażeń, napisała mu serdecznie i dowcipnie: „fantazja moja okazała się do tego stopnia ignorantką, że nie zadała sobie trudu odgadnięcia pana. Nie wiem, jak pan wygląda, nie wiem po prostu — i już. Ale będę wiedzieć. Kiedyś przecież poznamy się".

Mieszkali w dokładne przeciwległych krańcach kraju. Miasto jego pobytu zbudziło jednak drzenie i leciuchny ból w jej sercu: w tym samym mieście mieszkali niegdyś rodzice Stefana. Czy mieszkali w dalszym ciągu — nie wiedziała.

Z niezmienną regularnością co pięć dni wpadała do skrzynki pocztowej pękata brązowa koperta, adresowana do Joe. Czytając te listy wpadała w rozweselenie, gdyż Nik wypisywał pod jej adresem mnóstwo niewyczerpanych komplementów, uniesień i zachwytów. Żartowała z nim i przekomarzała się, dziękując zarówno za sympatie i odczucie, jak i serdeczne propozycje, że zagrają kiedyś na cztery ręce (Nik był również nieco muzykalny). Cieszył się, że kiedyś Bösendorfer Joanny zagrzmi pod jego barbarzyńskimi palcami, przy jej „subtelnym akompaniamencie". Planował również, że w przyszłości, o jakimś szarym zmierzchu, usiędą oboje razem na pogawędkę, serdeczną i poufną. Pisał jej, że tak bezmiernie miło jest znaleźć kogoś, kto sercem pokrewnym wyczuje, zrozumie i odpowie wiernym echem.

Joe ze swej strony napisała raz, że prędzej oni oboje — Nik i jego żona — w przejeździe w jego rodzinne strony, zawadzą bodaj jednym palcem o jej dom . . . Że wprawdzie swego domu nie ma, gdyż mieszka „kątem" u wujostwa, ale powita ich z radością.

Wzruszały Joannę bardzo jego listy półradosne i półsmutne, a przede wszystkim — to uderzało wszystkich, bo Joe listy Nika czytała rodzinie — jego ufność i absolutne duchowe zaprzedanie się Joannie.

Z dławiącym za gardło wzruszeniem czytywała te listy niespokojne i nieskoordynowane, nerwowe i burzliwe, jak wezbrany o wiośnie potok. Poprzez własne swe osamotnienie, tragedie i żale wyczuwała i rozumiała tę duszę wrażliwą i cierpiącą. Narastała przy tym w tych listach nuta, której nie można było nie dosłyszeć — nuta męskiej tęsknoty za kochaniem czyimś i własnym.

Z tkliwym współczuciem i pełnym sympatii zrozumieniem czytała usiane makiem liter karty.

— O, biedna, biedna Joe! . . .

Nie wiedziała, że los przyczaił się już i gotuje jej swe uderzenie najokropniejsze, jakie bezlitośnie miał jej zadać, uderzenie skierowane tym razem nie w serce jej — ale w honor. Lecz nie wiedziała również i tego, że właśnie Stefan, jakkolwiek oddalony o tysiące kilometrów, w najtragiczniejszej chwili jej życia, a przynajmniej w najcięższej, przybędzie jej na pomoc i stanie się jej ucieczką . . .

Była pełna uśmiechu i radości. Nagła delikatna tęcza rozpięła się nad jej życiem. Znalazła przyjaźń. Miała z kim dzielić artyczne drzenia swej duszy, miała z kim mówić . . . (a raczej pisać!) o największym życiowym kochaniu i to z kimś, co każdą jej myśl jak na kliszy odbijał na swej własnej myśli, każdy ruch jej ręki przetapiał w linie i kształty — w sumie: w sztukę!

Nadchodziły święta, a wraz z nimi dzień imienin Stefana. Serce Joe przepełniło się uczuciem oczekiwania jakiejś wielkiej uroczystości. Już wiele, wiele dni naprzód przygotowywała się na ten dzień, jakby na wyjątkowo ważne święto i myślała, czym by je uczcić i uświetnić. Bo przecież to były jego imieniny, a imię „Stefan" stało się wreszcie dla Joanny symbolem wszystkiego, co być miało i co być jeszcze mogło. Popadła zresztą już dość z dawna, w groteskowo-wzruszający stan, że roiła, jak dziecko rozczytane w bajce . . . A może właśnie tak się złoży, że Stefan wróci na okres swych imienin . . . w dzień ten — ten właśnie — odbędzie się ich ślub . . . i dzień ten będzie już do końca życia ich największym podwójnym świętem . . .

— Co by tu zrobić? Co wymyśleć? Coś takiego, by cały świat zrozumiał, jaki „on" jest ważny . . . by cały świat wiedział, co „jemu" się należy . . .

Oczywiście, nie mogło to być nic innego (Joe od razu wiedziała . . .), tylko — kompozycja!

Joe, jakkolwiek trzymała się wytyczonych prądem „modnych" dróg, była talentem na wskroś indywidualnym i jej prace rozpoznawało się z daleka od pierwszego wejrzenia. Wiedziała, że nigdy już nie stworzy nic lepszego nad „PACIERZE", ale postanowiła dać z siebie znowu coś ponad wszystko, coś, co by stanowiło skondensowanie jej duchowego stosunku do Stefana.

Ułożyła rajzbret na stole. Długo i pieczołowicie a kapryśnie przebierała w kartonach. Wreszcie wybór padł: gruby płócienny papier, gładki, wielkość 70×50 cm. A więc już jakby obraz . . .

Kompozycja dojrzała zupełnie w głowie Joanny i teraz gorączkowo pchała się do palców. Oczy jej rozelśniły się, jak latarki, usta pełne były uśmiechów i drżeń. Treść miała być w kolorach: czarnym, olśniewająco białym i krwawo czerwonym. Wypróbowała sztychy na świstkach, dotknęła próbująco poduszeczką serdecznego palca — dobrze!

Podniosła głowę, spojrzała na drzwi. Nagle wstała — i przekręciła klucz w zamku.

Jak błyski biegały kredki po płaszczyźnie arkusza. Ręka — raz zetknąwszy się z celem — przestała drżeć i nabrała rozmachu, decyzji, pewności siebie i mocy rozkazywania liniom.

Służący pukał do drzwi, by poprosić na obiad, ale nie otrzymawszy odpowiedzi i słysząc poprzez drzwi chrzęszczący bieg ołówków po papierze — cofnął się. Taki miał rozkaz. Wiedziano z dawna, że Joe pracując nie je, nie śpi i w ogóle nie ma żadnych ziemskich potrzeb. Nie odczuwała przecież nawet zimna.

Wieczorem kompozycja była gotowa. Nad lewym górnym narożnikiem ręka Joe znieruchomiała nagle, jak ptak na chwilę zatrzymany w locie za skrzydła. Sekunda . . . — zamiast inicjału znalazły się słowa:

„Stefanowi Joe". A potem olbrzymi, grający barwami jak tęcza napis tytułowy, nie u dołu jak zwykle, lecz u góry, nad kartonem:

Podarunek ślubny.

Joe z drżeniem patrzyła w to, co zrobiła. Oczy jej pieściły z rozkoszą cudną alegorię. Uśmiechnęła się do oczu Stefana, patrzących w nią z pomiędzy gwiazd. Same oczy te potraktowane były przenośnie jako gwiazdy tak fenomenalnie umiejętnie, że mogły to być tylko gwiazdy, a jednak były absolutnie i wyłącznie tylko oczy . . .

Joe troskliwie zwinęła karton w rulon, owinęła bladobłękitną wstążką (to był jej kolor . . .), wydobyła z szafki zwój nowego płótna i owinęła weń kompozycję, potem jeszcze w gruby papier i ukryła starannie w „archiwum", gdzie nikt jej nigdy nie zaglądał.

Tajemnica! Najsłodsza tajemnica! Kiedyś . . . w przyszłości . . . gdy Stefan . . . — ach, w ten dzień, w którym serce jego ujmie w rękę, jak czerwony ślubny kwiat — w ten dzień Podarunek Ślubny „pójdzie" we wszystkich czasopismach i na wszystkich wystawach . . . A teraz dowie się o nim, z początku na razie w liście, jeden tylko człowiek — Nik. Wciągała kolegę do najmilszej serdecznej konspiracji... Pasowała go po prostu na rycerza swych marzeń. On jeden, znawca i „rutyniarz", miał zabrać pierwszy i decydujący głos o kompozycji i kolorycie. Jedno i drugie było śmiałe, może dla niefachowców nieco ryzykowne. Nik, sam będący „dobrą ręką" — jak określała to Joanna — miał orzec, ile to jest warte . . .

I już przez to samo stał się jej dziwnie bliski. Joe o Stefanie nigdy nie mówiła nikomu i Nik, jakkolwiek pisywali już do siebie dość długo, również nic o nim nie wiedział. Joe należała do ludzi, którzy bardzo niechętnie i tylko wyjątkowymi okolicznościami zmuszeni, powierzają swe prywatne sprawy innym. Wiele rzeczy, które wiedziała, chciała wiedzieć tylko dla siebie, a cudzych nie była ciekawa.

Uplanowała też sobie, że na razie nic nie napisze Nikowi. Po prostu tylko opisze mu, a potem przy okazji pokaże kompozycję, ewentualnie nawet zrobi od razu małą kopię i wyśle mu. Jakie to zrobi na nim wrażenie? Sama Joanna po prostu rozkochała się w swym własnym tworze.

Marzyła w nocy — swym nieśmiertelnym zwyczajem — po zgaszeniu świateł, że kiedyś . . . gdy Stefan wróci . . . gdy wszystko już będzie tak, jak ona pragnie, zaprosi Nika do nich . . . do dworu . . . w cudne Beskidy, szumiące żywicznym lasem. I wtedy oboje razem będą tworzyć „cudeńka", jak on sam się wyrażał, którymi zachwycą świat. I że tak, jak imię jej kobiece stopione będzie w jedno z imieniem Stefana, tak jej nazwisko artystyczne stanie obok nazwiska Nika — i będą jaśnieć koło siebie zgodnie i harmonijnie, jak gwiazdy, obie dostatecznie jasne, by się wzajemnie nie stłumiać. Nik przytem zamierzał popróbować również kredek pod wytrawnym kierunkiem Joanny, która pod tym względem była już — jak mawiała — „stary wróbel".

W jedną z takich na pół bezsennych nocy, spędzanych na rozmyślaniach, Joe jakoś nie czuła się dobrze. Szumiało jej w skroniach, a w sercu dolegało coś. W głowie roiły się nieprawdopodobnie tysiące myśli, kształtów i barw, pomieszanych z sobą chaotycznie i zgiełkliwie. Joe z niepokojem wspominała dawne . . . nieco już zapomniane lata . . . owej straszliwej choroby, która omało nie zgniotła jej. Lęk ją

Kolizja

Przez deszcz rzęsisty, poprzez gęste chmury
Ponure, zbite, groźnie natłoczone
Wyjrzało słonko złocistym promieniem
Kolizja — zjawy dziwnie poróżnione.

W szarzyznę życia padło niespodzianie
W kryterium chwili nieoczekiwania
Wnosząc ten krótki ułamek szczęścia
Kolizja — chwila kaprysu wybrania.

W pomroki życia radość z siebie dało
Na moment krótki zabłysło, by zgasnąć
Stworzyć to sprzeczne i ułudne szczęście
Kolizja — zjawisk co żyją, by gasnąć.

B. Tuszyńska

zdjął, czy wskutek tego wszystkiego, co działo się z nią ostatnimi laty, wskutek osłabienia organizmu i nerwów — nie zechce odwiedzić jej gość przeklęty, którego bała się bardziej, niż śmierci — recydywa. Ale czuła w sobie jednak pewną odporność i umiejętność zwalczania nikłych — zresztą — objawów. Wiedziała jedno: że żadną miarą nie wolno jej przeżywać wstrząsów i niepokojów, że życie jej musi być spokojne i ciche, jak dolinna rzeka, że nie śmie przemęczać się fizycznie w ogóle, a umysłowo szczególnie. Starała się naginać wolę swoją i pragnienia do konieczności, bo doszła już na szczęście do takiego stanu, że ujęła siebie samą w żelazną dyscyplinę. Stefan właśnie miał jej przynieść wszystko: wieczne zdrowie tam, w Beskidach . . . w lasach..., ciszę życia w swej własnej osobie, znakomite warunki pracy tym, co przynosił z sobą. Nie wyobrażała sobie po prostu lepszego partnera życiowego dla siebie. Jego brak intelektualizmu stanowił znakomite wyrównanie dla zapalczywej i zapominającej się w umysłowej pracy Joanny, a umiłowanie sportów i nieskończone niemal w tym względzie umiejętności mogły jej zrobić tylko znakomicie, gdyby chciała podporządkować się pod nie i dać się prowadzić za rękę.

Gdy właśnie przychodziły na nią chwile obaw i lęków, w marzeniach szukała ucieczki, gdyż odrywały ją one od niedobrych myśli. Nie wiedziała nawet, kiedy zasnęła. Sen miała niespokojny i drżała jeszcze po przebudzeniu. Ale nie było to drżenie przykre, tylko że nerwy czasami odmawiały Joe posłuszeństwa. Śnił się jej Stefan, daleki i zamglony, ale uśmiechnięty i patrzący aksamitem oczu łagodnie i pobłażliwie. W tym śnie wydał się jej tak przeboleśnie potrzebny, tak konieczny i wszechmocny, że pod wpływem tego snu, z oczyma pełnymi jeszcze sennych podświadomych łez, chwyciła arkusz 40 X 65 i poczęła rysować. Narastały przesubtelnie cieniowane, pastelowe kontury i kształty. Postać dziewczęca, zwalona w proch, jakby zdeptana czymś niemiłosiernie, z wyrazem ostatecznej męki w odrzuconej do tyłu głowie, w uduchowionej twarzy i ramionach, wyciągniętych tragicznie, odruchem przejmującej do szpiku kości tęsknoty i skruchy w stronę wizji . . . Wizja była rozmyślnie niewyraźna i zgubiona w półtonach i cieniach brązowozłocistych, ale tak plastyczna, że sama Joe, patrząc później na nią, poczuła lekkie dreszcze. Wizją była czarnowłosa głowa mężczyzny, a przede wszystkim oczy — oczy aksamitne, połyskliwe i miękkie.

Ekspresja tego obrazu była tak ogromna, że Joe zatopiła w nim spojrzenie wylękłe i niedowierzające. Naznaczyła monogram w nagłówku, a pod karton rzuciła nazwę: **„U Kresu"**...

Zaledwie otworzyła „Pion" przeczytała, że Salon Młodych urządza „występ" i uprasza artystów malarzy, rysowników i rzeźbiarzy o liczny udział. Było kilka uwag na temat Joanny — postanowiła bez namysłu posłać „U kresu".

Służący latał po mieście całe przedpołudnie za ramami i szkłem, a potem za oprawą. Joe własnoręcznie naklejała karton na przepięknie błękitne, pastelowe tło, opatrzono całość chromoniklową tabliczką, gdyż Joe nie znosiła koloru złota — i praca Joanny w sam raz zdążyła na wystawę. Zawisła na lewej ścianie w pierwszej sali. Mężczyźni chrząkali mocno, patrząc w karton, a kobiety popłakiwały otwarcie. Krytyka rozpływała się wprost, a „Pion" był w siódmym niebie, gdyż otrzymał prawo reprodukowania.

Ale największy triumf, największa radość przyszła dopiero potem . . . w kilka tygodni po otwarciu wystawy: Pewnego dnia przysłano Joannie do domu olbrzymi kosz cudnie pięknych, białych jak śnieg kwiatów, do których załączona była pachnąca różowa koperta

Joe otworzyła pospiesznie. W głębi znajdował się list i — wiersz.

Joe przeczytała wpierw list:

„Łaskawa pani! Łączy nas pokrewieństwo talentu, ale mój talent — jak to zresztą zapewne pani wie — jest zupełnie innego rodzaju. Pani ubiera swe wewnętrzne życie i piękno wypływające z pani, w kolory i kształty — ja w słowa. „U kresu" zrobiło na mnie tak szalone i wzruszające wrażenie, że do dziś czuję zawrót głowy. Pozwoliłam więc sobie obraz pani ubrać w słowa — i pewna jestem całkowicie, że tak właśnie, a nie inaczej, wyglądałyby myśli i uczucia pani, gdyby zamiast rysować i malować, umiała pani — rymować. Czy pozwoli mi pani na publikację tego poemaciku obok reprodukcji pani dzieła, a właściwie arcydzieła, podchodząc do sprawy z punktu wrażenia uczuciowego, jakie sprawia, bo na malarstwie nie znam się zbyt dobrze — ?? Proszę przyjąć kwiaty czci i braterstwa oraz wiele najmilszych słów . . .

Następował podpis znanej poetki, kilkakrotnie już wyróżnianej.

Joe sięgnęła nieco drżącą ręką po arkusz, blado-różowy, wykwintny i pachnący. Maszynowym pismem widniało na środku:

U KRESU . .

już cię i głosem przyzywam — i sercem!
o, przyjdź nareszcie — i weź mnie na ręce
jak małe dziecko umęczone płaczem!
Przyjdź! wszystko zaraz będzie tak inaczej . .
Bóg — co zapomniał o mnie — wróci z tobą! . .
i zdejmie ze mnie na zawsze żałobę . . .
i w biel ustroi moją duszę smutną . . .
Bo tyś jest moje **„Wczoraj", „Dziś"** i **„Jutro"** — — —
do ciebie myślą podążam jak ptaszek
smagany wiatrem w przytulne poddasze!
Mój Bóg jest dobry . . . jest dobry bezbrzeżnie . . .
dlatego czekam na ciebie — i wierzę!!
. . . a jeżli serca twego mi nie stanie
to się nade mną zamknie trumny wieko . . .
. . . a gdy powróci twe wierne kochanie
to będziesz szczęścia mojego kolebką . . .

W miarę, jak Joe czytała, coś poczęło jej przesłaniać i mglić pole widzenia. Arkusz dygotał w jej palcach coraz silniej, wreszcie wysunął się z nich i z miękkim szelestem spłynął na podłogę. Kolana ugięły się pod Joanną. Obsunęła się cicho, a jasna jej głowa, zanurzona w obydwu rękach, spadła na barwny kilim na tapczanie, wtłaczając się weń.

Po chwili po ścianach począł obijać się, jak spłoszony ptak, rozpaczliwie tłumiony szloch . . .

Koniec

ROZMAITOŚCI

ŻYŁ 146 LAT

Norweskie dzienniki doniosły, że niedawno zmarł w północnej Norwegii najstarszy człowiek Europy. Nazywał on się Johann Drakenberg. Liczył w dniu swej śmierci 146 lat. Stwierdzono to z całą pewnością, na podstawie metryki urodzenia. W 111 roku swego życia, ożenił się po raz drugi, a po 19 latach pożycia zmarła jego druga żona. Pragnął on wtedy ożenić się po raz trzeci, lecz przeszkodziła mu w poszukiwaniu żony — niestety spóźniona śmierć.

W ROCZNICĘ ŚMIERCI WYNALAZCY SAMOCHODU

4 kwietnia br. minęło 19 lat, jak zmarł w Monachium wielki wynalazca samochodu Karol Benz, przeżywszy lat 84.

Po ukończeniu politechniki i gimnazjum, młody Benz wstąpił do fabryki. Tam zrodziła się w nim wielka myśl wybudowania motorowego wozu, który by był w stanie poruszać się na publicznych drogach bez szyn. Pierwszy swój samochód zbudował w roku 1880.

Po pierwszej fali nieufności jaką doznał w kraju, zyskuje sobie w całych Niemczech ogromną popularność, zdobywając w Monachium w roku 1888 złoty medal.

Benzowi wraz z Dajmlerem udało się po ciężkich próbach przerobić motor gazowy na benzynowy. Motor ten zastosowany został do roweru stwarzając tym samym pierwszy motocykl.

Na starość za swe zasługi otrzymał Benz tytuł doktora.

CIEKAWA STATYSTYKA

Pewne niemieckie czasopismo higieniczne zamieszcza na swych łamach statystyczne obliczenie pewnego niemieckiego uczonego, który zbadał i dokładnie obliczył, że człowiek ważący siedemdziesiąt pięć kilogramów, zjada w ciągu swego życia 96 000 kilogramów różnych pokarmów. Spożywa tym samym człowiek 1280 razy więcej aniżeli sam waży.

LUDZIE ŻYJĄ I POD ZIEMIĄ

W Japonii wobec częstych trzęsień ziemi, które niszczą nadziemne budowle, inżynierowie i architekci przystąpili do rozważania projektu budowy domów podziemnych. Domy miały by po 80 pięter pod ziemią. Cena jednak budowy jednego domu wynosiłaby 800 milionów jenów.

MLEKO W ARKUSZACH

W Danii ostatnio wynaleziono nowy sposób fabrykowania mleka w arkuszach. Fabrykacja ta odbywa się w następujący sposób: Ze świeżego mleka wyparowuje się wodę, stwarzając tym samym papkę, która następnie przepuszczona między gorącymi walcami zmienia się w lekkie i elastyczne arkusze. Arkusze te dają się łatwo przewozić i przechowywać, będąc zupełnie nieczułymi na wilgoć. Pierwsze próby z mlekiem arkuszowym wypadły znakomicie, znajdując jak największe zastosowanie w gospodarce krajowej.

BIAŁE KRETY

W Niemczech na pewnym obszarze pod Hannoverem znajduje się rezerwat o wielkości niecałych trzech kilometrów, w którym żyją białe krety. Na terenie Europy środkowej jest to jeden jedyny w tym rodzaju rezerwat.

HOTEL HELVETIA

O godzinie czwartej nad ranem dnia owego, zbudził mieszkańców Montreux głęboki huk, podobny do odległej detonacji. W dziesięć minut potem dziwny, głuchy odgłos powtórzył się ponownie, z mniejszą nieco siłą. Przerażeni mieszkańcy miasteczka i przyjezdni goście wybiegli na ulicę, aby zbadać przyczynę tajemniczych detonacyj.

Okazało się, że jeden z największych hoteli w Montreux „Helvetia" zawalił się. Najwięcej ucierpiała lewa strona budynku, natomiast przód i prawa strona zarysowały się tylko niebezpiecznie.

Uruchomiono natychmiast cały aparat ratowniczy, który przystąpił szybko do akcji. Spod gruzów budynku wydobyto kilkanaście poranionych ofiar. Siedem osób spośród hotelowych gości i troje ze służby poniosło śmierć. Specjalna komisja ustaliła jako przyczynę katastrofy obsunięcie się ziemi, wobec czego właściciel hotelu Jean Arlen, zaaresztowany bezpośrednio po wypadku, został wypuszczony na wolność.

Czy jednak ruchy tektoniczne były jedynym powodem katastrofy? Czy nie kryła się tutaj jakaś głębsza tajemnica o niezbadanym podkładzie? Dlaczego właśnie tych siedem osób, nie licząc ofiar spośród personelu hotelowego, niemal w jednej minucie straciło życie?

Tragiczna śmierć zaskoczyła ich w czasie snu. Nie mieli może czasu ani na jedno otwarcie powiek, na zdanie sobie sprawy z tego, iż w tej chwili kończy się ich ziemska wędrówka. Może Opatrzność umyślnie wybrała tych siedem ofiar spośród kilkudziesięciu innych osób zamieszkujących hotel „Helvetia"?

Twarze tragicznie zmarłych były w przeważnej części zniekształcone, co utrudniało do pewnego stopnia ustalenie nazwisk zabitych osób. Wśród tych siedmiu ofiar, znajdowały się dwie młode, bardzo piękne kobiety. Pierwsza z nich Ilonka Aszlanyi, tancerka węgierska, liczyła lat dwadzieścia osiem. Druga, Ines Rodriguez była żoną bogatego kupca hiszpańskiego, który również zginął w katastrofie. Pod gruzami „Helvetii" znaleźli śmierć dwaj młodzi angielscy turyści William Morrison i John Parker. Szóstą ofiarą był Karol Spaak, mężczyzna liczący pięćdziesiąt lat, o nieznanej przynależności państwowej, będący od jakiegoś czasu pod baczną obserwacją detektywów. Podejrzewano go, iż był międzynarodowym złodziejem hotelowym. Do dnia 5 czerwca to jest do dnia wypadku, nie zdołano go jednak zdemaskować. Ostatnim wreszcie, który zamykał tragiczną listę, był Ludwik Roth, trzydziestoletni artysta dramatyczny z Monachium.

Zabite osoby, będące zatrudnione w hotelu zostały pochowane na koszt dyrekcji. Zwłoki siedmiu cudzoziemców złożono we wspólnym grobie na małym, górskim cmentarzyku, a wydatki związane z pogrzebem pokryło państwo. Do dnia dzisiejszego na cmentarzu w Montreux stoi duży, kamienny krzyż, z wypisanymi nazwiskami tragicznie zmarłych osób.

Cofnijmy się raz jeszcze do tej fatalnej nocy, będącej ostatnią w życiu tych siedmiu osób i zobaczmy jak spędzili oni ostatnie godziny swego życia.

A może choć na chwilę uchyli się dla nas tajemnicza zasłona zakrywająca to, o czym nikt nie wie i czego nigdy nie zbada żadna komisja . . .

*

Kroki Williama Morrisona są ciche i ostrożne . . . Idzie powoli w stronę drzwi. Nagle przystaje . . .

— Willy!

John Parker zrywa się z łóżka i zapala światło.

— Willy! Stój!

William dotyka ręką metalowej klamki, ale John jest szybszy. Zasłania sobą drzwi i patrzy prosto w oczy przyjaciela.

— Nie pójdziesz do niej! Słyszysz?! Ja cię nie puszczę! . . . Nie poto uratowałem ci życie tam, w Indiach, nie poto przez trzy lata otaczałem cię braterską przyjaźnią, ażebym teraz musiał patrzyć na to, jak giniesz z obłędnej namiętności do tej . . . tej . . .

— Cicho, John! Krzyczysz, jak histeryczka, nie zważając, że cały hotel śpi . . . Północ . . .

— Będę krzyczał! Będę jeszcze głośniej krzyczał, ażeby wszyscy się dowiedzieli, że mój przyjaciel Willy Morrison oszalał! Zadaje się z jakąś cyganką i łamie słowo, które przed wyjazdem z Londynu dał swej narzeczonej miss Mary Blackwood . . .

— Milcz! Odejdź od drzwi i połóż się do łóżka, bo masz gorączkę! Nikt nie ma prawa kontrolować mych czynów! Nikt, nawet ty!!

— Błagam cię Willy, nie chodź do niej . . . Wyjedźmy już jutro z Montreux, gdziekolwiek, do Genewy, Bazylei, na koniec świata, byleby jak najdalej od niej! Ciebie zaślepiła ta namiętność i wierzę, że ciężko ci zakończyć tą przykrą sprawę, ale pozwól mi działać! Zaufaj mi Willy! Już raz uratowałem cię, gdy byłeś w śmiertelnym niebezpieczeństwie, więc i tym razem wybawię cię . . . Wierz mi tylko, Willy, a wszystko będzie dobrze . . .

William patrzy dłuższą chwilę w oczy przyjaciela, a potem bez słowa odsuwa go od drzwi.

— Dziękuję za twą pomoc, John, ale na razie jej nie potrzebuję. Zbyt przesadzasz w ciemnych barwach! Ja chyba najlepiej wiem co mam robić.

— Nie, ty nie pójdziesz tam!

— Odejdź, John . . .

— Nie!

William chwyta za ramię przyjaciela i w jednej sekundzie John znajduje się na podłodze. Droga na korytarz jest wolna.

William wychodzi z pokoju przekręcając za sobą klucz w zamku.

Szczere, jasne oczy Johna zachodzą łzami . . .

*

Duże, ciemne oczy Ludwika Rotha wpatrują się w stojącą na stoliku fotografię młodej kobiety.

Na stole leży niedokończony list. Ludwik czyta półgłosem ostatnie zdania:

„. . . i nie potrafię przeboleć tego ciosu. Twoje małżeństwo jest dla mnie wyrokiem śmierci. Nie mogę pogodzić się z tą myślą, że ty zostaniesz żoną innego człowieka, który na pewno nie zasługuje na tak wielkie szczęście. I dlatego nie spotkamy się nigdy. Twoja droga będzie biegła nieco odmiennie od dotychczasowej, będzie jednak nadal drogą życia. A moja dobiegła kresu . . ."

Ludwik podnosi głowę i patrzy w okno. Ciemna noc pachnie kwiatami. Od jeziora wieje ciepły wiatr . . .

Na stoliku przy łóżku leży rewolwer. Ludwik ogląda uważnie broń. Spocona ręka dotyka chłodnej stali . . .

Nagle przed oczyma młodego aktora staje zgrabna, pełna młodości postać dziewczyny.

— Ewa!

Słyszy jej słowa, którymi kiedyś żegnała go, gdy odjeżdżał do Monachium: — . . . kiedy ci będzie bardzo źle, kiedy nie znajdziesz obok siebie bratniej duszy, gdy zniknąd nie będziesz słyszał pokrzepiających, pełnych otuchy słów — to wtedy wróć do mnie . . . Tu znajdziesz spokój i ciszę. Znajdziesz to, czego ci nigdy nie da świat. Sława i bogactwo nie dadzą ci pełni szczęścia. To tylko blichtr i kłamstwo . . . Szczęściem jest cisza i dobroć . . .

Ludwik patrzy w jasną lampę stojącą na stoliku, a potem targa niedokończony list na drobniutkie kawałki. Zgarnia je do ręki i wyrzuca przez okno. Małe, białe skrawki papieru lecą daleko, podobne do ciem nocnych . . .

— Masz rację Ewo . . . — szepcze do siebie. — Szczęściem jest cisza i spokój . . .

Ciepły wiatr przynosi z oddali mocną woń kwiatów. Granatowa cisza spływa z rozgwieżdżonego nieba.

Ludwik opiera się o drewnianą ramę okna i patrzy na uśpione osiedle. Na ustach ma dziwny, tajemniczy uśmiech.

— Życie jest piękne . . . — szepcze do siebie i powolnymi, opieszałymi ruchami zamyka okno . . .

*

— A jednak życie jest piękne!

Karol Spaak uśmiecha się złośliwie. Długie, wąskie palce bawią się ciężkim sznurem pereł. Nareszcie udało mu się zdobyć niezwykle cenną biżuterię hrabiny Orłowskiej. Długie tygodnie czekał na dogodną okazję, aż wreszcie dzisiaj cierpliwość jego została nagrodzona.

— Ciekawym ile za to dostanę . . . — myśli, patrząc na błyszczące tysiącem ogników brylanty.

Podniecona wyobraźnia nasuwa mu cały szereg przyjemnych, miłych obrazów: Monte Carlo . . . ruletka . . . Nicea . . . wyścigi . . . Biarritz . . .

— Jutro wyjadę . . . Zacznę nowe życie! Spokojne, umiarkowane życie starszego rentiera o skromnej pensyjce.

Usta jego wykrzywia szatański uśmiech. Powoli zsypuje klejnoty do małej szkatułki i chowa ją do biurka. Przekręca dwukrotnie kluczyk tkwiący w maleńkim, artystycznie wykonanym zamku.

*

Ilonka przekręca dwukrotnie klucz tkwiący w zamku.

— Ach, to ty . . .

W głosie jej drga nuta obojętności i znudzenia.

— Wejdź dalej . . . — zaprasza ruchem ręki stojącego na progu mężczyznę.

William wchodzi nieśmiało do pokoju i zamyka cicho drzwi.

— Nie masz pojęcia, najdroższa, jak bardzo stęskniłem się za tobą — zaczyna, lecz wnet milknie, gdyż na twarzy pięknej tancerki dostrzega cień zniecierpliwienia.

— Może zmienisz wreszcie swój repertuar? Te żakowskie wzdychania i romantyczne pozy znudziły mi się całkowicie.

— Ależ Ilonka! Jak możesz tak mówić?! Wiesz przecież jak bardzo cię . . .

— Przestań, Will! Powiedziałam ci już raz, co myślę o mężczyznach takich jak ty. Wiem, że mnie kochasz, wiem, że mógłbyś dla mnie popełnić największe szaleństwo, ale wybacz moją szczerość: to mi nie wystarcza . . .

— Jakto?! To mało, że cię kocham miłością ogromną, bezgraniczną? To mało, że dla ciebie mogę wyrzec się wszystkiego: kraju, przyjaciół, stanowiska?! To jeszcze za mało?!

— Nie rozumiesz mnie Will . . . Widzisz, ja jestem tylko tancerką i nie mam nic, oprócz urody. To jest mój cały majątek . . . A przecież muszę myśleć o przyszłości. Zrozum to Will, że za dwadzieścia lat czas zetrze piękność i młodzieńczą urodę z mojej twarzy i wtedy nikt już na mnie nie spojrzy. Dlatego muszę wyjść za mąż, muszę stworzyć własny dom, gdzie będę mogła spokojnie oczekiwać smutnych, jesiennych dni mego życia . . . A ty pomimo wszystko nigdy nie będziesz moim mężem. Nieprawdaż?

William milczy. Opuszcza głowę nisko, jeszcze niżej.

— Nie zechcesz za żonę tancerki, kobiety, której treścią życia był teatr czy bar. Ty musisz mieć za towarzyszkę życia jakąś czystą dziewczynę ze swej ojczyzny, a nie bezdomną, międzynarodową kokietkę, którą tylko można się bawić, jak bezduszną lalką.

— Ilonka! Dlaczego jesteś dzisiaj taka jakaś inna, obca, daleka?! Dlaczego usiłujesz wyszydzać wszystko swymi ironicznymi uwagami? Czy nie możemy porozmawiać jak dotychczas, po przyjacielsku, szczerze? . . .

— Właśnie chcę być szczerą, a ty to bierzesz za ironię. Proszę cię Will, nie mówmy dzisiaj o tych sprawach. Jestem nieco zdenerwowana i nie chciałabym ci okazać mego złego humoru.

— Rozumiem cię doskonale! Nie będę już dzisiaj dłużej cię zanudzał. Sądzę, iż jutro wszystko będzie dobrze. Nieporozumienia wyjaśnią się. Dobranoc, najdroższa!

— Dobranoc, Will! Jutro wszystko będzie dobrze . . .

Ilonka zamyka cicho drzwi i patrzy na zegarek.

Obie wskazówki stoją na jedynce.

*

— Która godzina, Pedro?

— Pięć po pierwszej . . . Śpij już kochanie . . .

— A ty ciągle jeszcze pracujesz nad tymi obrzydliwymi rachunkami?

— Ciągle Ines! Ale już kończę i za chwilę się położę.

— To zostaw to już! Jutro rano uporządkujesz, a teraz chodź do mnie. Opowiem ci dziwny sen.

Pedro Rodriguez odkłada wieczne pióro i wchodzi na palcach do sypialni. Siada na brzegu łóżka i delikatnymi ruchami gładzi białe ramię żony. Potem nachyla się i składa na purpurowych ustach Ines gorący, przepełniony miłością pocałunek.

— Kochasz mnie Pedro?

— Kocham, najdroższa!

— I zawsze będziesz mnie kochał? Powiedz: zawsze? . . .

— Zawsze, Ines, różyczko moja . . .

— To dobrze . . . bo widzisz . . . bo ja . . .

Piękna twarzyczka Ines płonie prześlicznym rumieńcem. Młoda kobieta zarzuca ramiona na szyję męża i długo szepcze coś po cichu.

— Naprawdę, Ines?! Jesteś tego pewna?!

— Tak, Pedro . . . Naprawdę! A teraz opowiem ci mój sen. Śniło mi się, że hotel, w którym mieszkamy zawalił się . . .

— Co tam sen! — przerywa Pedro Rodriguez pogardliwie wzruszając ramionami. — Ważniejsze jest to, że będziemy mieli syna! Musi być odważnym i dzielnym, jak przystało na prawdziwego Hiszpana.

— A może będzie córka?

— Nie będzie! — śmieje się Pedro. — Musi być chłopiec!

*

Na małym cmentarzu w Montreux stoi kamienny krzyż z wypisanymi nazwiskami osób zmarłych dnia 5 czerwca 19.. roku.

HAWI

O wybrednym malarzu

Żył raz w jednym mieście malarz bardzo wybredny. Krytykował wszystko i wszystkich. Nic mu się nie podobało, tylko własne obrazy i własna pięknie utrefiona broda. Najnowszym sposobem sztuki malarskiej wymalował tę brodę na płótnie. Tak wiernie i dokładnie, że nawet wypadały z niej włoski. W złoconych ramach posłał obraz na wystawę do Paryża i otrzymał za niego pierwszą nagrodę.

Broda stała się sławną i popularną. Tysiąc fryzjerów wyrabiało takie same brody. Wszyscy kandydaci na sławnych ludzi kupowali je i przyklejali do podbródka. Damskie bucíki z małymi rudymi bródkami należały do ostatniego krzyku mody. Fotografowie wzbogacili się na sprzedawaniu podobizn brody.

Malarz pozostał biednym. Pieniądze otrzymane w nagrodę szybko mu się rozeszły. Część ich rozpożyczył pomiędzy znajomymi. Nikt mu nie oddał ani grosza, nie poznawano go na ulicy. Aby żyć, musiał znowu malować.

Wałęsał się po mieście i szukał natchnienia do nowego obrazu. Było to zimą. Puszyste, białe gwiazdki śniegu fruwały nad miastem. Pląsały się obok zapalonych latarni. Mięciuteńką pierzynką otulały dachy kamienic, chodniki i jezdnie. Nuciły kołysankę sennym drzewom w parku. Przysiadały na czapkach i kołnierzach przechodniów. Ślicznie było dokoła i bardzo przyjemnie.

Wszystkim podobała się zima, tylko malarz mruczał, że z ciemnych chmur sypie biały śnieg, że ładniejszy byłby zielony. Zielone dachy, zielone drzewa w zimie i zielone głowy stwarzałyby harmonię. Myślał, że gdyby tak mógł dostać się do środka chmur, to nauczyłby tego partacza, który maluje śnieg porządnej roboty.

Stał malarz na środku ulicy i myślał. Nie

DZIECIĘCA IDYLLA



Don-Juanem być nie trudno,
Trzeba tylko chcieć!
Nade wszystko trzeba jednak
Pewność siebie mieć.
Zamaszyście kroczy Wojtuś,
Bo przewodnia nić
W sprawach serca — to możliwie
Punktualnym być!



Nie powinna snów królewna
W utęsknieniu trwać . . .
Więc pośpieszył Wojtuś Luli
Pocałunek dać!
Trochę ją, co prawda, speszył,
Niby broni się . . .
Że to jednak tak „pro forma"
Płeć nadobna wie . . .



Rendez-vous udane w pełni,
Czas na skrzydłach mknie,
I beztroski uśmiech szczęścia
Krasi buzie dwie.
A gdy się już rozstać trzeba
I opuścić park,
Wojtuś Luli wręcza kwiatek
Z cichym szeptem warg . . .

Fot.: Wacław Wierzewski — Kraków.
Tekst: Stefan Krasiński

widział nic i nic nie czuł, ani słyszał. Śnieg sypał na niego.

Gwiezdne płateczki zamieniały się w duże, ogromne płaty śniegu. Już całe pokłady sunęły na ulice.

Opustoszało dokoła.

Zasypało malarza zupełnie. Koniec brody wystawał mu tylko spod śniegu. Przerażony począł się ratować. Rękami, nogami drapał się w górę. Dopomagał sobie brodą. Na próżno. Góra śniegu rosła nad nim. Dosięgła chmur. Malarz wdarł się po niej do środka pałacu Czarodzieja Chmur.

Obszerny to był pałac i niezwykły. Komnat w nim sto tysięcy. Były białe, były różowe, zielone, szare, czarne i barwne, jak zorza. Wszystkie bez okien. Schodów też nigdzie nie widać. Musiał malarz skakać z trzeciego piętra na dół, taki bowiem układ miały komnaty. Nie stała mu się przy tym żadna krzywwda, bo ściany były miękkie. Zamoczył sobie tylko koniec brody.

Zwiedził już cały pałac i nigdzie nie napotkał żywej istoty. W przedostatniej sali, która miała kształt półkolisty i płonęła siedmiobarwnym światłem, nadeptał Wężowi Królewnie Tęczy na ogon. Rozgniewana Tęcza namalowała mu nim brodę, w siedmiobarwne pasy. Uciekając przed Tęczą, wpadł do piwnicy pałacowej, gdzie mieściła się pracownia malarska Czarodzieja Chmur.

Siwowłosy, o szarej twarzy i w szarej odzieży siedział na niskim stołeczku. Obok duży samowar buchał kłębami pary. W tych kłębach pary maczał Czarodziej gruby, włosiany pędzel i malował nim swoje chmur, rozesłane u jego stóp. Na prośbę o zajęcie, rozkazał malarzowi spychać okienkiem śnieg z chmur na ziemię. Malarz w tajemnicy przed Czarodziejem maczał śnieg siedmiobarwną brodą na kolorowo i taki zrzucał na ziemię.

Po chwili świat leżący nisko mienił się kolorami tęczy. Twórca zaprzestał pracy i zapatrzył się z podziwem na swoje dzieło. Zaciekawiony Czarodziej podszedł także do okienka. Na widok kolorowego śniegu złapał się za głowę i zawołał:

— Co uczyniłeś człowiecze! Poznaj sam ile złego zrobiłeś!

Wypchnięty przez okienko malarz spadał nosem w zaspę śnieżną. Nic mu się nie stało. Otrząsnął brodę i gwiżdżąc wesoło poszedł naprzód. W koło niego świat promieniał barwami tęczy. Mróz iskrzył na śniegu siedmiokolorowe gwiazdy. Tymczasem dumny malarz podziwiał swoje dzieło. Na drzewach siedziały małe szare ptaszki i kwiliły żałośnie. Odbijały się wyraźnie od kolorowego tła. Pod jasnym błękitem kołował jastrząb. Raz po raz opadał na dół i wybierał co najtłuściejsze. Kolorowy śnieg przyczyniał się do zguby ptaszęcej.

Malarzowi zrobiło się przykro. Szedł dalej i widział, jak drogą do wioski szły małe dzieci, które wracały ze szkoły. Blaski kolorowe raziły je w oczy. Nie widziały znaków przydrożnych i wpadały do zasp. Płakały. Malarz ratował je z trudem i odprowadził do wioski.

W wiosce zamieszanie i krzyki. Ludzie ślepli, konie szalały, psy wściekały się od blasków. Stara babinka stała przed domem i płacząc, pomstowała na kolorowy świat.

— Bodaj temu broda posiwiała kto go wymyślił.

Malarz spojrzał na brodę. Siwiuteńka. Zapłakał z rozpaczy i... obudził się. Spojrzał w lusterko. Broda taka jak wczoraj. Miedziana. Odetchnął... Rozważył proroczy sen.

Przestał krytykować.

Pracował rzetelnie. Malował tak jak widział i czuł.

Stał się nieśmiertelnym.

St. Nowakówna

Rozłąka

Oddały mnie w pustkę Twoje ramiona
i tak smutkiem rozszlochała się dusza,
— jakby ktoś w chwili tej konał
albo gdzieś kondukt ruszał.

Pociąg owija mgła
i bryzga wulkanicznie.
— Czyś słyszał; Vale et me ama
skanduje stal rytmicznie.

Wąż żelazny gna —
iskry rozgubił po łąkach
— Czy słyszysz? Vale et me ama.
Ktoś wyrzekł: rozłąka.

Po lśniącej linii szyn
coś srebrzy się jak łza
— turkot kół zagłusza spleen
Vale et me ama.

A kiedy pługiem lat
ta miłość zaorana
najwięcej z wszystkich strat
żal mi Twego: Vale et me ama.

Amalia Łuczyńska

»PIEPRZYK«



Scena z 3-go aktu komedii K. Götza, p. t.: „Pieprzyk", wystawionej w Starym Teatrze w Krakowie dnia 2, 3 i 4 lipca br. Od lewej: Piotr (Rydel), Ingeborga (Jabłonowska), Otokar (Kondrat) i Coniunctivus (Fabisiak).
Fot. Borek

Znowuż trójkąt małżeński!? Zagadnienie oklepane do znudzenia; w powieściach, na ekranach kin, na scenach teatrów, zaś aż do obrzydzenia... praktykowane na arenie cyrku z menażerią ludzką... Zagadnienie to w sposób oryginalny i ciekawy poruszono „z pieprzem" w „Pieprzyku".

Autor unikając utartego szablonu podszedł śmiało do zagadnień zdrady małżeńskiej, rozwinął je z bogatym znawstwem duszy człowieczej i zadziwił nas oryginalnością w ujęciu tego, jak świat starego, tematu. Przedstawił bowiem w sytuacji „trójkąta", typy o pewnym zasobie moralności, uczciwości i honoru. Dla nich pewne zasady etyczne istnieją w każdej chwili i okoliczności; do zasad tych odnoszą się niekiedy nawet z uszanowaniem i staczają ciężką walkę wewnętrzną ze sumieniem, gdy przychodzi im te zasady łamać.

„Miłość" w tej komedii czuwa nad tym, by miłości nie stała się krzywda; kryje się tu aforyzm o kobiecie, którą miłość prawdziwa stara się odwieść i ochronić przed dopuszczeniem się zdrady. Podobnie „moralność" kochanka usiłuje odciągnąć, przekonać, a poniekąd nawet zawrócić z drogi, na którą pcha go namiętna miłość, mając również na względzie zachowanie jego moralności i honoru.

Tu toczy się walka: między miłością do kochanka a miłością do męża; między pokusą a honorem; między „zakazaną" miłością a moralnością; między skłonnościami natury a rozumem. Która z wojujących stron odniesie zwycięstwo? Oto pytanie, na które autor sam nie odpowiada, lecz w ostatniej scenie, w sposób dowcipny, zadaje publiczności.

Zakończenie sztuki jest więc pytaniem: czy kochanek, kierowany z jednej strony namiętną miłością do żony przyjaciela, z drugiej; serdeczną przyjaźnią do męża, i etyką oraz honorem — uda się na nocną schadzkę, by dokonać grzechu zdrady z żoną przyjaciela?

Autor doprowadził sztukę tylko do momentu, w którym kochanek wyrusza na „plac boju". Kurtyna spada, — zaś wynik, a tym samym odpowiedź — niech dośpiewa sobie domyślna publiczność...

Cała ta niespodzianka — pytanie, w końcowej scenie, wyszła sztuce na zdrowie. Scena ta, dobrze obmyślana i świetnie zagrana, ukoronowała całą sztukę — rzekłbym — dorobioną do tej sceny, w sposób pomysłowy.

Jako nieznaczny minus tej komedii, ośmielam się podkreślić tylko to: że nie miała pełnego powodzenia u kobiet; kochanek nie reagował energicznie, ani szybko na gorące propozycje kobiety, lecz wahał się i cofał; zaś mąż, występujący na scenie, nie był kompletnym idiotą.

Skoordynowana gra rutynowanych sił scenicznych Krakowa, podkreśliła korzystnie trudniejsze momenty, zaś wzmocniła słabsze strony sztuki.

Janina Jabłonowska — zdolna i doświadczona aktorka, w roli Ingeborgi, odtworzyła wnikliwie pod względem psychologicznym, zwłaszcza w scenach konwencjonalnej moralności, typ czarującej uwodzicielki. Talent jej nie mozoli się nad efektem.

Zdeńka Topolska — utrzymała się doskonale w charakterze ciotki Otylii. Od początku do końca była doświadczoną doradczynią w najbardziej zawiłych sprawach miłosnych, jak przystało na przesyconą romantycznymi wspomnieniami ciocię, naturalnie, że nie prawdziwą, ale prawdziwą ciocię w komedii.

W Krzysztofie Rydlu — widzimy młodego, „rasowego" aktora, którego od początku niezawodnie typujemy na dużą wygraną i laury w dalszej karierze scenicznej. Z trudnej roli Piotra wywiązał się znakomicie. Jako kochanek podkreślał wyraziście stany uczuciowe. Całował mocno i czule, jak w gołębniku.

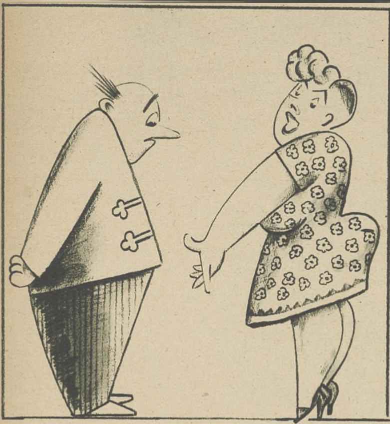
Tadeusz Kondrat — ma już wrodzone, artystyczne, zabarwione humorem samopoczucie, które kazało mu nawet w roli poważnej — męża-naukowca, kiedy usiłował trzymać się na odpowiednim poziomie, w odpowiednim stylu, przestrzegającego czystości intencji — stwarzać momenty pocieszne.

Kazimierz Fabisiak — artysta dużej klasy, któremu nie grozi zmanierowanie i choroba aktorska, symptomem której jest namiętność do ról nieodpowiednich. W każdej roli czuje się dobrze i potrafi ją z prawdą odtworzyć.

Paliwoda-Matiolański

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

KĄCIK KARYKATURZYSTY



Żona: — Gdybym wiedziała, żeś taki idiota, tobym absolutnie za mąż za ciebie nie wyszła...
Mąż: — Mogłaś to poznać po tym, żem się tobie oświadczył...
Ryс. J. Buczkowski — Kraków

•

— Na litość boską, Marianno! Jak możecie kąpać dziecko w takiej wodzie? 35 stopni temperatury Celsjusza, to przecież strasznie gorąca woda!
— E, proszę pani, co się tam takie małe dziecko zna na temperaturze!

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR 23.

STUDIUM Nr 4

K. A. L. Kubbel (nr 109 zbioru)
Czarne: Ka5, We8, Gb8, Se5, piony: c7, d7 (6).
Białe: Kb3, Gg1, Sc8, piony: a4, b5, a6 (6)
Białe zaczynają i wygrywają.

ROZWIĄZANIE PROBLEMU Nr 16

(Anderson): Wd7—d8!

PARTIA Nr 22

Białe: Ullrich — Czarne: K. Junge
Drezno 1942
Gambit hetmański

1. d2—d4 d7—d5	14. Gg5×f6[8]) Ge7×f6
2. c2—c4 e7—e6	15. Sc3×b5 c6×b5
3. Sb1—c3 c7—c6	16. Gf3×b7 Wa8—b8
4. Sg1—f3 Sg8—f6	17. Gb7—c6+ Ke8—e7[9])
5. Gc1—g5 d5×c4[1])	18. a2—a4 b5—b4
6. e2—e4 b7—b5	19. Wa1—c1 c4—c3![10])
7. e4—e5 h7—h6	20. b2×c3 b4×c3[11])
8. Gg5—h4 g7—g5	21. d4—d5 Gf6—g5[12])
9. Sf3×g5 h6×g5[2])	22. d5—d6+[13]) Hd8×d6
10. Gh4×g5 Sb8—d7[3])	23. f2—f4[14]) Gg5×f4
11. e5×f6[4]) Gc8—b7	24. Wh1—f1[15]) Hd6—d2+!
12. Gf1—e2[5]) Sd7×f6	25. Hd1×d2 c3×d2+
13. Ge2—f3[6]) Gf8—e7![7])	Białe poddały się.

U W A G I:

[1]) Wariant rzadko grywany, który daje czarnym dobre widoki gry.

[2]) Także 9 . . . S—d5 zasługuje na uwagę.

[3]) Rellstab podaje tu 10 . . . G—e7 11. e×f6 G×f6 12. G×f6 H×f6 jednak białe po 13. a4 uzyskują przewagę przy tym sposobie gry.

[4]) Prawdopodobnie silniejszym jest tu 11. H—f3 G—b7 12. G—e2 jak to było granym w partii dr Schafer—Junge w tym samym turnieju.

[5]) 12. H—f3 H—a5! n. p. 13. G—d2 G—b6!

[6]) Podrecznik dra Euwego uwzględnia tu tylko 13. a4 G—e7 14. a×b5 c×b5 15. G—f3 S—d5 16. G×d5 G×d5 17. G×e7 K×e7! z przewagą czarnych, jak w partii Scheltinga—Grünfeld Amsterdam 1936 turn. 8 mistrz.

[7]) W partii Palme—Junge, Elster 1941 nastąpiło 13 . . . a6 14 a4 G—e7! 15. a×b5 a×b5 16. S×b5 c×b5 17. G×b7 W×a1 18. H×a1 H×d4 19 H—a8+ G—d8 z mniej więcej równą grą. Posunięcie w partii jest silniejsze.

[8]) Od razu 14. S+b5?? byłoby grubą omyłką wobec H—a5.

[9]) To rozwiklanie przyniosło wprawdzie białym zdobycz piona, lecz tenże jest nie do utrzymania, gdyż d4 jest podwójnie zagrozonym, a 18. d5 G×b2 19. W—b1 G—c3+ przyniosłoby czarnym przewagę pozycyjną. Białe mają prócz tego duze trudności w dojściu do 0—0 i zabezpieczeniu króla, gdyż 0—0 prowadziłoby po H—d6 do utraty figury.

[10]) Przez 19 . . . H×d4 20. H×d4 G×d4 21. W×c4 G×b2 było możliwym wygodne wyrównanie. Posunięcie w partii jest ostrzejszym.

[11]) 21. W×c3? H—a5!

[12]) 21 . . . H—d6 było tez bardzo silnym ruchem.

[13]) Przegrywa od razu 22 W×c3 było jeszcze ciągle niekorzystnym z powodu: H—a5 23. d6 K—f8 24. H—d4 W—h4! 25. g4 W—b3 zdobywa W. Niezbędnym było teraz zaofiarowanie jakości przez 22. 0—0 co prawda i potem czarne przez G×c1 23. H×c1 e×d5! 24. H×c3 (albo 24. W—e1+ K—d6 25. H×c3 W—c8) W—h6 utrzymywałyby decydującą przewagę.

[14]) Albo 23. H—d6 K×d6 z zyskiem figury, gdyż 24. W×c3 jest niemożliwym z powodu W—b1.

[15]) Białe spekulują na 24 . . . G×c1? 25. W×f7! ale czarne nie muszą iść na lep tej pułapki.

[16]) Najprostsze. Czarne zdobywają 2 wieże.

— Wyobraźcie sobie, państwo, żeby wszystkie szynki z wódką pochłonęło to morze! — woła w zapale mówca antyalkoholiczny.
— Cóżby z tego wynikło?
Jeden ze słuchaczy odpowiedział: — Wszyscy by się topili! . . .

•

— Niech mi pani poradzi: czy mam zostać malarzem, czy poetą?
— O! Malarzem!
— Pani widziała moje obrazy?
— Nie, ale czytałam pana wiersze.

•

Wieśniaczka staruszka do lekarza, który kaszle:
— Niech pan doktór zapisze mi jakie lekarstwo na reumatyzm, a ja panu doktorowi zapiszę lekarstwo na kaszel.

•

— Czy to prawda, że woda morska i powietrze nad morzem są słone?
— Alez tak! Tam nawet hotele, restauracje, kawiarnie, wszystko jest słone.

•

— Coś kupił dzieciom na gwiazdkę?
— Andzi saneczki, Stasiowi książkę, a malemu Stefkowi trąbkę.
— A coś ty dostał?
— Ja? Dwa zaprotestowane weksle, wezwanie do sądu i wymówienie mieszkania od gospodarza.

•

— Sprzeciwianie się jest zawsze znamienną wadą kobiet.
— To nie jest prawdą, mój kochany.

•

Pewien nauczyciel był bardzo srogi i dzieci bały się go jak ognia. Razu pewnego, gdy był bardzo rozgniewany krzyknął grzmiącym głosem:
— Gapski! Kto stworzył niebo i ziemię?
— To nie ja, panie profesorze — jak mamę kocham, że nie ja! . . .

•

Gospodyni: — Budzić pana chyba nie potrzebujemy. Kogut pieje wcześnie.
Roztargniony turysta: — Dobrze. Proszę go zatem nastawić na godzinę 7-mą rano.

•

— Mamo, mamo, popatrz! Ta małpa wygląda zupełnie jak wujcio Franio!
— Cicho! Cicho, niegrzeczny chłopcze!
— Dlaczego mam być cicho? Przecież małpa tego nie zrozumie!

•

— Mój kuzyn założył restaurację, wprawdzie trzeciorzędną, ale punkt znakomity!
— Pod jakim względem?
— Bardzo niedaleko pogotowia ratunkowego.

•

Pan B. otrzymuje od swej żony serdeczny liścik:
„Codzień patrzę na twoją piżamę, wiszącą na gwoździu i myślę sobie z tęsknotą: — Ach, gdybyż zamiast tej piżamy wisiał tutaj mój słodki mężulek —. . ."

•

Ojciec: — Dzieci! Nie gniewajcie matki, bo będzie znowu grać na fortepianie!

•

— Moja droga, czy to pedagogicznie tak katować biedne dziecko? Jaki w tym cel?
— Cel? Żeby mnie ulżyło!

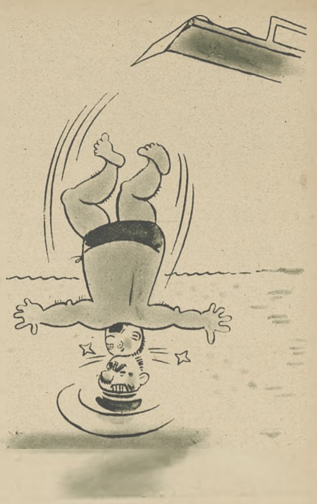
•

MAŁŻONKOWIE I PRZYSŁOWIA

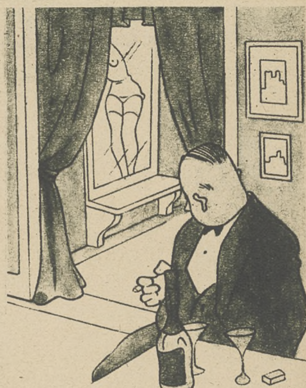
Żona: *Chcę z tobą pomówić, ale ty nigdy nie masz czasu.*
Mąż: *Czas to pieniądz.*
Żona: *Właśnie mi potrzebne pieniądze, bo chcę sprawić sobie letnią suknię.*
Mąż: *Nie suknia zdobi człowieka.*
Żona: *Chciałbyś, żebym teraz chodziła w zimowej sukni?*
Mąż: *Do świętego Ducha nie zdejmuj kożucha.*
Żona: *Potrzebny mi też letni kapelusz.*
Mąż: *Potrzebny jak dziura w moście.*
Żona: *Rękawiczka z lewej ręki mi się zdarła.*
Mąż: *Niech nie wie lewica, co daje prawica.*
Żona: *Buciki mam złe, ledwie cholewy się trzymają.*
Mąż: *Poznać pana po cholewach.*
Żona: *Inne żony mają lepszych mężów.*
Mąż: *Cudze chwalicie, swego nie znacie.*
Żona: *Patrz jak się stroją moje przyjaciółki!*
Mąż: *Prawdziwego przyjaciela poznaje się w biedzie.*
Żona: *Będą mnie pokazywały palcami.*
Mąż: *Na pochyłe drzewo i kozy skaczą.*
Żona: *A co im powiem?*
Mąż: *Mowa jest srebrem, milczenie złotem.*
Żona: *Co to? Żartujesz ze mnie?*
Mąż: *Dobry żart tynfa wart.*
Żona: *Żałujesz żonie na konieczne wydatki!*
Mąż: *Z próżnego i Salomon nie naleje.*
Żona: *Jak nie masz, to pożycz u kogo.*
Mąż: *Dobry zwyczaj nie pożyczaj.*
Żona: *Nic o mnie nie dbasz.*
Mąż: *Przyganiał kocioł garnkowi...*
Żona: *Byłam zawsze dla ciebie dobra.*
Mąż: *Każda liszka swój ogon chwali...*
Żona: *Jesteś sknera!*
Mąż: *Kto grosza nie szanuje... nie będzie miał złotego.*
Żona: *Ty samolubie!*
Mąż: *Jeszcze się ten nie narodził, ktoby drugiemu dogodził.*
Żona: *To nie dasz mi pieniędzy?*
Mąż: *Słowo się rzekło, kobyłka u płotu.*
Żona: *Pamiętaj, że pójdę od ciebie!*
Mąż: *Baba z wozu, koniom lżej.*

St. Moskalewicz

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



— Po raz pierwszy skaczę z trzechmetrowej wysokości, ale nie wyobrażałem sobie nigdy, że woda jest aż tak twarda.
Münchner Illustrierte Presse



— Za chwilę będę gotowa z przebieraniem, a pan może sobie tymczasem obejrzy obrazy.
— O, proszę się nie śpieszyć, panno Urszulko, właśnie oglądam bardzo ciekawy obrazek.
Hamburger Illustrierte



SPÓR W RAJU
Adam: — Z tych liści będzie doskonała sałatka!
Ewa: — Nie. Nic podobnego! Zrobię z nich dla siebie suknię wieczorową!
Die Grüne Post



NA POLNYCH DROGACH

POT. BIL